

STANISŁAW CIESIELCZUK

PIES KOSMOSU

BIBLJOTEKA KWADRYGI

STANISŁAW CIESIELCZUK

PIES KOSMOSU

WARSZAWA — 1929
KSIĘGARNIA F. HOESICKA

TEGOŻ AUTORA:

WIEŚ POD KSIĘŻYCEM, poezje, Warszawa 1928
CHATY W OBŁOKACH, poezje, Warszawa 1927

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

ZŁOCISTA SIECZKA

SIECZKARNIA

Zgrzytliwym pilnikiem naostrz, parobczaku,
Wyszczerzone zęby żelaznych rzezaków.
Potem naoliwić musisz i nakarmić
Zdrowem smarowidłem organizm sieczkarni.

Na zapolu owies ziarnem ociężały
Chce rozsadzić pęta powróseł omdlałych,
Rozlać się swobodnie po stodolnem wnętrzu —
Dać tu kilka snopków, co się z brzegu piętrzą!

Sieczkarnia podstawia skrzynkę ci zieloną:
Naręczami owsa napakuj jej łono,
Chwyć za korbę, zakręć — z gardła szerokiego
Źdźbła zbite z kłosami pod noże wybiegą!

Czach, czach! — zakołuje koło rozpędzone.
Czach, czach! — jasne ostrza równo krają słomę,
Drobią sieczkę dobrą
Dla koni na obrok.

Trwa bez przerwy twardy, chropawy śpiew chrupań,
Rośnie w oczach sieczki stożkowata kupa;
Chmura drobnych skrawków, złotawych przebłysków,
Coraz szerzej siada na czarnem klepisku.

O, tnijcie, rzezaki, suchym deszczem sypcie,
Bądźcie niestępione w wytrwałej ostrości.
Parobczaku krępy — mocniej, sprawniej, szybciej!
Utraf swym wysiłkiem w rytm doskonałości!

ODDECH

Muszę cię sławić, siło płodząca, rozrodcza,
Wiecznie płonący ogniu, wieczna wielka żądzo!
Pragniesz, by dąb istnienia nie usechł, nie zwiotczał,
Lecz odnawiał się, grubiał, rósł imponująco.

Dwa kwiaty wonnym sobie oddają się pyłem,
Żeby słońce zobaczył śliczny, zdrowy owoc —
Ognisty ogier skacze na jurną kobyłę,
By przyszło zgrabne źrebię, niby żywe słowo.

Mężczyzna, miażdżąc ciało najdroższej kobiecie,
W dreszczu ją ziarnem życia zapładnia dojrzałem,
By — w łonie jej poczęte — zrodziło się dziecię,
Przyszły człowiek, natchniony życiodajnym szałem.

Ten sam tworzący płomień cały świat ogarnia,
Wszelaki rodzaj ziemski lęgnie się i mnoży —
Wciąż warczy, zgrzyta śmierci zębata sieczkarnia,
A byt jest nieśmiertelny — trwa oddechem bożym!

PŁODY

Pod nieba wzrokiem czujnym, pod wzrokiem
[miłosnym
Gorącem życiem młodość żywi się zielona —
Już gęsto owocami młodemi porosły
Jabłoni i grusz liczne liściaste ramiona.

Leszczynom się wśród liści wykluły orzechy
Białe i miękkie jeszcze, o wątłej skorupie —
Wychylają się one z pod zieleni strzechy
I piją słodkość ciepła, którą słońce chlupie.

Śliwom gruczoły śliwek wyskoczyły na wierzch,
Twarde gruzły, zielonym napęczniałe mleczem.
Maliny, bose nogi w gęstej gubiąc trawie,
Grudki jagód młodziutkich w dnia nurzają rzece.

Przed chałupą zaś gładka gospodyni młoda,
Siedząc na szarej ławie, bluzkę swą rozpina
I pierś krągłą jak owoc biały wydobywa,
Aby ją płaczącemu niemowlęciu podać.

MŁODOŚĆ

Niech piersi od radosnych nabrzmieją przypływów,
Niech uśmiech jasnym ptakiem na ustach zakwitnie:
Młodość życie bogaci złotą sił oliwą,
Młodość kąpie puls świata w swoim świeżym rytmie.

I rośnie w pióra świateł, jak w strzeliste świty —
I rośnie w moc promienną, jak w poranki lśniste.
I śpiewa o potężnych wybuchach snów szczytnych,
O cudownem szaleństwie swoich lat ognistych.

»Pójdziemy tam, gdzie piękna słoneczny brzmi akord,
Gdzie w harmonji braterstwa zgrzyt krzywdy już
[umilkł.
Pójdziemy w szafir prawdy, w świetlistą skrzydlatość,
Tam, gdzie wielkość zielenią wawrzynową szumi!..«

Niech wzejdą serca pełnią silnej w przyszłość wiary—
Każdą noc brzask rozdziera ostrzami płomieni.
Młodości, co masz w oczach gwiazd przeczyste żary,
A w duszy — wicher wiosny, mierz zuchwale
[w zenit!

SŁOMA

Tłamsiły ją, z kłosistych głów ziarna jej łuskały
Tryby, terkotem szparkim świeży miąższ ciszy żrące
Na krzywych szponach wideł o trzonku wyślizganym
Wynosił ją chłop rosły i składał w stos pod słońcem.

Dzień pozostawił ranka dzieciństwo za plecami,
Słonecznem zdrowiem tryskał i w ziemi się zadurzył.
Bat ćwiochał, konie kierat ciągnęły wkrąg za ramię—
Młockarnia grała raźnym trajkotem na podwórze.

A nocą było cicho, spały stodoły bramy,
Drzemały w stajni konie — na niebie był przymrozek.
Zaspany, mąką światła srebrzystą posypany,
Nad własnym cieniem sterczał w bezruchu słomy
[stożek.

Nagle krzyknęło niebo — świat zbielał i osłupiał,
Noc najjaskrawszą blasku rozdarła się pochodnią!
Blasku ciemności zimne, jaśnisty mroku upał —
Blasku ślepota gwiezdna!
Stos słomy stanął w ogniu.

* * *

Przestań, wietrze-rzępoło, grać
Na gałęziach wiśni —
Zwołuje się gwiazd grudniowa brać,
By się Bogu przyśnić.

Dzińdzyńdzynią dzwoneczki już
Srebrzystem dźwięczeniem,
Jedzie sańmi przez śniegu kurz
Boże Narodzenie.

Wichrem w naszą wlatuje wieś,
Zatrzymuje konie,
Do chat idzie, by ludziom wnieść
Trochę niebnych woni.

By w serc lampach zapalić błysk,
Jak świeczki choinom,
Wlać do pełnych jedzenia mis
Dobroć miodopłynną.

W okna ślepki wścibiają pod okap
Aniołki ciekawskie —
Wsunął na łeb księżyc, tłusty chłopak,
Siwej chmurki kaszkiet.

Igiełkami iskier skacze mróz
Po śniegowej ziemi —
Przyjechało z nieba do wsi już
Boże Narodzenie.

FALE

W SIERPNIU

Dni lecą, lato więdnie jak uśmiech kaliny.
Nie patrzeć w ciemnozłote zboża moim oczom,
Nie słuchać uszom świeżej, szumiącej gęstwiny,
Pieniącej się zielenią, musującej mocą.

Czas mija, życie mija — i tylko wiatr nuci,
Że był maj, maj słowiczy w białym woni dymie.
Wszystko, wszystko odchodzi — i nic nie powróci.
Oto ścierni się sierpień, który także minie.

Od sadu strugi chłodu płyną, by mnie zalać,
I noc pocichu płacze nad moją młodością.
Tylkoś ty wrócił, smutku, jak gwałtowna fala,
I w duszy zamieszkałeś, najsmutniejszy gościu.

Nie mogę na was spojrzeć, gwiazdy mych wieczorów,
Mych lazurów pachnących, moich marzeń wzniosłych.
Piecze, piecze mnie serce od krwawych przypływów.
W lecie żal mi jesieni, a w zimie żal wiosny.

Oto stoję w spojrzeniach zimnego wszechświata,
Lęk jak pies chce się grozą na mą duszę rzucić.
Noc płacze nad człowiekiem, jak nad kwiatem lata.
Sen mija — życie mija, by nigdy nie wrócić.

KŁOS PSZENICZNY

Mgła po łąkach mdłe włosy rozplata,
Mrok na drogach w szarym pyle klęka.
Rozkwitają wdali żółte światła:
To wieś w bezmiar patrzy przez okienka.

Nie zasmucaj, głuchy smutku, zmierzchu.
Niech ból uśnie, niech tęsknota uśnie.
Oto, jadąc na błękitu wierzchół,
Wielki Wóz pogubił srebrne luśnie.

Nad przyziemnie zjeżone ścierniska
Jeszcze zrzadka żywe strzela zboże —
Chwiane wiatrem w powiewu kołyskach,
Wciąż przed śmiercią sierpiastą się trwoży.

Ku mej ścieżce podszedł zboku zagon
Urodziwej, dojrzałej pszenicy.
Wychylony tajemnicą nagłą,
Złotym kłosem zajrzał mi w źrenice.

Nad dalekim lasem płynął księżyc,
Świat mi w piersi drżał gołębiem białym.
Nie umiałem miłości zwyciężyć —
I pszeniczny kłos pocałowałem.

ROZMOWA Z DRZEWEM

Zaszeptał do mnie, zaszemrał kasztan, rosnący za
[oknem:
»Czy widzisz, jak się chmurzy? Znowu nawskroś
[przemoknę.
»Deszczu mnie bicze smagają, wiatr szarpie złemi
[łapami —
»Ach, czyż minęło już lato z jasnemi, ciepłemi
[dniami?

»Ty, który często przed siebie patrzysz w milczącej
[zadumie,
»Wiem, że mię lubisz troszeczkę, zwłaszcza gdy zcicha
[zaszumię.
»Pamiętasz, jaki byłem, gdy wiosną się odziewałem
»W zieloność miękką i kwitłem kwiatów uśmie-
[chem białym?

»Powiedz mi, czemu się smucisz? Czyż tutaj także
[źle ci?
»Poczekaj, może jutro słońce pogodą zaświeci.
»Dzień odszedł, noc się zbliża, spoziera coraz cie-
[mniej...
»Co ci się stało, — ach, powiedz! — że tak wpa-
[trujesz się we mnie?

— Wyjeżdżam stąd niezadługo, kochany przyjacielu,
— Świadku mych licznych radości, świadku mych
[smutków wielu.

Wtem wicher nadleciał, wpadł w ogród ze świstem
[i wyciem dzikiem,
I ledwiem słyszał, jak kasztan stłumionym odrzekł
[mi krzykiem.

* * *

O, rozhuśtały się dzwony,
Bijące w przestrzeń jak w ścianę.
Świat — zmierzchu tchem odymiony,
Powietrze — gra jak organy.

A dusza się w piersi kołysze —
Żal dzwoni i dali woń dzwoni.
Dzień odszedł, a wieczór znów przyszedł,
By gwiazdom oczy odsłonić.

Dźwięk we mnie jak w wiązkę strun trąca —
Z dzwonami dzwon serca zagadał.
Brzęknęła nad miastem wschodząca
Ostroga miesiąca blada.

Jak mówi znajomą wonią
Ten wieczór, dzwonami owiany!
Dal dzwoni i żalu woń dzwoni —
Powietrze gra jak organy.

ŚPIEW MRĄCEGO OSTU

Nad trawiastym brzegiem Huczwy żył pewnego roku
Mały, młody krzew ostowy, urodzony w mroku —
Z piersi ziemi ssał ciepły zdrój mleka,
Rósł, w zielone ciało się oblekał,
Brał ustami liści napój jasności z obłoków.

Przypatrywał się w wieczory ciągłym fal pochodom,
Przysłuchiwał się tym szumom, które z sobą wiodą.
Czasem, bólem przejęty dalekim,
Szeptał w smutku do sąsiadki — rzeki:
»Nie miej, nie miej do mnie żalu, kiedy umrę młodo!«.

I płynęła ciągle woda i jak czas mijała.
Przyszło lato, oset w słońcu kwiatami zapałał —
Z dni wypijał zachodów pożary,
Noce chłodem ziemię wachlowały...
Oset smutny był, bo miłość, miłość go owiała.

Naginał się, nachylał się ku rzeki spojrzeniom
I czuł w sobie wszystkie blaski, które w niej się [mienią,
Chciał ją w noce lipcowe bez słowa
Czerwonemi kwiatami całować —
Ach, ty mądra lśniąca wodo w nieba przystrojeniu!

Płynął, mijał strumień czasu, mijał, by nie wrócić,
By radować jedne życia — drugie życia smucić:
Chwile były to dłuższe, to krótsze,
Aż o jednem niezbłaganem jutrze
Przyszła jesień, wczesna jesień, życie ostów skrócić.

Przyszła jesień — w smutnym oście, w zakochanym
[oście
Ostrzem zimna skaleczyła duszę z gwizdem złości.
I podcięła roślinne istnienie,
Uderzyła krzywdą jak kamieniem —
Oset poczuł w sobie śmierci, śmierci mroźny oścień.

Oset konał. Chwiał się w wiatru przeciągłych po-
[wiewach,
Czuł, jak z łodyg obolałych życie się wylewa,
Chwytał oddech liśćmi omdlałemi,
Chwytał zapach przenajświętszej ziemi —
I ostatnim słabym głosem wśród wiatru zaśpiewał:

»Nie miej, nie miej do mnie żalu, ty huczwiańska
[wodo,
Że w jesiennym głodnym chłodzie umieram tak
[młodo!
Nim poznałem słoneczną urodę,
Już wiedziałem, że muszę stąd odejść,
Tak jak wszystko odejść musi nieznajomą drogą.

Szumiałaś mi, rzeko moja, rzeko miłowana,
O Bogu, pędzących gwiazdach, morzach, oceanach.
Upajałaś, kołysałaś, grałaś,
Byłaś pięknem roztopionem cała,
Gdy na słońca urodziny różowiałaś zrana.

I słuchałem wierzb przybrzeżnych zmiennego szelestu,
I tęskniłem ku twojemu wodnemu królestwu...
Zanurzony dołem w traw aksamit,
Krwawiłem się żywemi kwiatami,
Swą miłością, niby żarem rozraniając przestwór.

Niebna noc błękitną twarzą na pierś ci się kładła,
Napływały w głąb twą gwiazdy — a tyś gwiazdy jadła.
Ach, meteor ognisty raz spadał
W twe objęcia i iskier kaskada,
Zanim spadł, jak miecz boskości olśniła mię znagła.

Zasyczałaś, podskoczyłaś, napuszona pianą,
Opryskałaś księżycowi łysinę miedzianą —
I wróciłaś migotliwym deszczem,
I z rozkoszy drżałaś długo jeszcze...
Kilka słodkich kropel spadło ku mych kwiatów ranom.
— — — — — — — — — — —
Jeśli kiedyś znowu przyjdzie wrócić mi w te strony,
Niechaj w wodzie twej szuwarem wzrosnę rozwstężo-
[nym.

Radość może ku nowym nieść brzegom,
Ale smutek jest na dnie wszystkiego —
Ginę, ginę, raz ostatni w ciebie zapatrzony!

Zostanie łodyga ze mnie pożółkła i biedna,
Pył skruszonych moich liści wiatr po drogach
[przegna.
Dni popłyną jak słowa w piosence,
Ale mnie tu już nie będzie więcej!
Rzeko moja, rzeko... rzeko najśliczniejsza, żegnaj«...

Woda śliskie ręce w żalu zachwiała serdecznym,
Zapłakała płaczem cichym, smutnym pluskiem
[rzecznym.
Dzień noc goni, fala goni falę,
Stamtąd bliżej, ale stąd wciąż dalej
Płynie, płynie, przemijając, strumień czasu wieczny.

* * *

Zapłakałem nad świtem różanym,
Nad soczystą poranną radością,
Nad miłości księżycem wiośnianym,
Nad mą złotą, skrzydlatą młodością.

Nad słonecznym dni przeszłych połyskiem,
Nad rośnemi gwiazd niezabudkami,
Nad istnieniem, nad żalem — nad wszystkiem
Zapłakałem płomiennemi łzami.

BRACISZEK — ŚNIEG

Drogi śniegu, śniegu bieluteńki,
Czemu kocham dzisiaj puch twój miękki,
Tak jak wtedy, gdy byłem maleńki?

Czy pamiętasz chłopaka smutnego,
Poprzez okno często patrzącego
W świat, odziany w twoje futro, śniegu?

To ja byłem. Lata przeleciały.
Czy poznajesz? Już nie jestem mały.
Czy poznajesz mnie, braciszku biały?

Któż cię śpiewać tak cicho nauczył?
Czy ci chłodno, że tak smutno prószysz?
Chcesz? — ogrzeję ciebie w swojej duszy!

Biały śniegu, śniegu mój niewinny,
Mnie też nieraz smuci smutek zimny —
Coraz smutniej — coraz inny, inny...

Ale jeszcze śpiew twój będzie śmielszy —
Jeszcze będę ja kiedyś weselszy,
Cichy śniegu, śniegu mój najbielszy!

PIANA NA USTACH

* * *

Rozluźniają się tragiczne węzły,
Płynie powiew z nieistnienia sfer —
Widły, w sercu głęboko ugrzęzłe,
Skruszy waszą moc zwycięska śmierć!

Klękam, klękam coraz smutniej na ziemi,
Z żył wypływa krwawe złoto sił,
Pójdę jeszcze chwilkę dniami białemi
Tam — daleko — skąd wyszedłem był...

Boże, Boże! — spytam myślą zawrotną —
Powiedz, Boże, czem jest śmierć? — niech wiem!
Nicość szepnie: Tem, czem życia odwrotność,
Prawdą — kłamstwem, jawą — albo snem...

Boże, Boże! Ale czemże jest życie? —
Krzyknę w lęku, w przerażeniu pustem.
Wtedy dusza z piersi wymknie się skrycie.
Zamknę oczy. Będzie dobrze. Usnę.

* * *

Już odeszłaś w dumną obcość swą drogą,
Tylko cień swój zostawiając zwodniczy.
Moja dusza płonie, płacze za tobą,
Ciało moje łka za tobą i krzyczy.

Kto ugasi warg mych krwawą posuchę,
Kto mi duszę koniem śpiewnym roztętni?
Gromie zwinny, zleć na serce obuchem,
Niechaj serce z bólu wrzaśnie — i pęknie.

Tyś mi była snem, różami kwitnącym,
Tyś pachnący kwiat miłosny — kwiat ziemi.
Twoje oczy — noce czernią świecące,
Twoje usta — mokre wonne płomienie.

Wróć i daj mi głód głęboki nasycić,
Zgaś pragnienie wyciągniętych rąk obu.
Dusza moja łka za tobą i krzyczy,
Krew mi, płonąc, płacze w żyłach za tobą.

*   *   *

Wiem, że nie jest tak ciepło, tak pięknie
W groźnem życiu, jak kłamie niejeden.
Pokochałem was, rozdartych jękiem,
Przywalonych grubą kłodą biedy!

Ciągle muszę słyszeć płacze wasze,
Ciągle ból wasz, jak swój ból, czuć muszę —
Każde ludzkie cierpienie pałaszem
Trafia w żywe mięso mojej duszy.

Czoła wasze całuję gorąco,
Wasze serca całuję, nędzarze,
Wasze rany, jak zorze krwawiące,
Stygmatami we mnie się żarzą.

Sam zbolały, nieszczęsny, biedny,
Rozognioną rozpaczą pocięty,
Jestem z wami, chrystusowie powszedni,
Tłumie ludzi, na życiu rozpiętych!

PIANA NA USTACH

Serce moje śpiewało tobie,
Rozmodlone ogniem najszczerszym;
Nazywałem ciebie swym bogiem
W trelowaniu nieśmiałych wierszy.

I myślałem, żeś ty naprawdę
Miłosierdzia, dobroci pełen —
Lecz dziś wiem już, że jesteś twardy
W okrucieństwie nad własnem dziełem.

Dusza moja miłością ciekła,
Zachłyśnięta ciepłą krwią uczuć —
Teraz garścią sięgnę do piekła,
Piekłem sobie zaleję gardło,

Zacznę płonąć jak brzuch wulkanu —
Dławkie bóle duszę utuczą —
Plunę juchą zapiekłą, czarną
W twą dalekość wygórowaną!

Widzę ciebie, chytrości dzika,
Czynisz z ludzi marną igraszkę,

Swoją straszną podłość zamykasz
W zakłamane rażące blaski.

Pocoś w wiadra dusz ludzkich nalał
Ognistego pragnień fermentu?
Żeby potem skrzydlatość zwalić
I skrępować konopnem pętem?!

Pocoś stworzył żrący głód szczęścia,
Loty, które rwą w nieskończoność?
By, jak z chwiejnych ruchów dziecięcia,
Kpić z porywów wielkich i płonnych?!

Poco — powiedz! — poco zasiałeś
W glebie piersi zboże miłości?
Żeby, w cieniu śnień wybujałe,
Uschło w skwarze niemożebności?!

Jam cię kochał — sam wiesz najlepiej,
Jakiem słońcem kochania drżałem.
Tyś to słońce we mnie oślepił —
Płonę, wrzeszczę do ciebie szałem!!!

Ja nie byłem przenigdy chytry,
Szczerą ścieżką do ciebie idę.
Och, te srogie oczy ci wydrę
Zemsty ostrej śpiczastą dzidą!

Z nożem w zębach skradam się oto,
Zwieram pięści, zaciskam zęby —
Tak jak tyś mnie cierpieniem grzmotnął,
Ja ci oddam ciosu rozpędem!

O, podpalić siny dach nieba
Skrwawionemi oczami głowni —
Twoją starość będę ogrzewał,
Już nie syn twój, ale buntownik.

Nie przestraszysz mnie sforą djabłów —
Przecież jesteś ich ojcem także! —
Ja się stanę czartem zajadłym,
Żeby z piekłem przymierze zawrzeć.

Czemuż „dzieciom“ nie dasz ni grosza
Z twych bezcennych, gnijących skarbów,
Lecz fałszywe złoto rozkoszy
Sypiesz tylko z szaty swej fałdów?

Możeś ty nie rozdzierał piersi
Genjalności, by w mrok ją rzucać?
Możeś ty nie utopił w śmierci
Przecudownych oczu Chrystusa?

Sam w masełku jasności pływasz —
A nam mózgi w ciemność ugrzęzły

W płachty nasze dusze zaszywasz,
Głodne serca zakuwasz w więzy!

— — — — — — — — — — — —

Nie przerazisz ciemności górą,
Nie przebijesz mnie jadem spojrzeń —
Lecę gromów na ciebie chmurą,
Lecę wściekłych błyskawic morzem!

O, szaleństwa kłów się nie zlęknę,
Ni przepaści zawrotnej grozy —
Dawaj swoje szczęście i piękno!
Póki będziesz nas głodzić, mrozić?

Duszom ludzkim zimno jak w pustce —
Chcesz zagasić, chcesz je zagładzić?
Dokąd, dokąd pędzisz te hufce
Żyć znękanych w niewiedzy czadzie?

Daj mi — słyszysz?! — daj, czego łaknę,
Przecież szczęście mi się należy.
Czy mam duszy kroplami płakać,
By twe serce niemi odświeżyć?

Masz ty serce żywe, czy worek,
Nieczułością nabity cały?

O, pogryzę, jak suchą korę,
Twoją wszechmoc żarliwym szałem!

— — — — — — — — — — — —

Może myślisz, że jestem słaby,
Żem niezdolny do tego czynu?
Złamię, zmiażdżę błękitu sztaby
W zębach, w palców stalowych linach!

Zemsty mojej pożoga buchnie,
Jak potworna płomienia wieczność,
Miecz palący nogi ci utnie
Za mych bólów dzikość serdeczną.

Czy dlatego róże serc kwitną,
Kwiaty, rosą tęsknot wilgotne,
By śmierć mrozem jadła je chwytnym,
By je słonie chłodów pogniotły?

Wziąłeś radość, radość najwyższą
Tylko sobie, zazdrosny sknero —
A dlaczego każesz złym ciszom
Biedną radość z ludzi wydzierać?

Głodu serca mi nie ukoisz
Drobniakami łask, które dajesz —

Mnie olbrzymiość tęsknoty boli,
Mnie pragnienia pożarem krają.

Za tych, których katujesz życiem,
Za tych, których dusze są płaczem,
Chcę rozwalić twój łeb księżycem,
Zamordować cię chcę z rozpaczy!

— — — — — — — — — — — —

...A może ty jesteś... niczem?!...

WOŃ LAZURU

WĘDROWCY SNÓW

Któż nas wodzi, któż nas wodzi
Poprzez złudzeń piach,
Kto nam każe zawsze brodzić
W mgłach i łzach i snach?

Któż nas dał, by wydrzeć, ziemi,
Któż to wyśnił nas?
Czem jesteśmy — zawieszeni
Wśród ruchomych gwiazd?

Któż nas zaklął w przemijanie
Mocą niemych słów,
Byśmy byli wędrowcami
Niezmierzonych snów?

Bory wieków szumią głucho
Pieśń zgonów i żyć...
Któż nas miecie zawieruchą
W wieczność — w pustkę — w nic?

* * *

Pójdę nad rzekę, pocałuję wodę,
Pójdę w noc leśną, wgarnę w siebie las.
W niebie i w sercu niechaj gwiazdy młode
Mgłą jasnolśniącą przędą biały blask.

Pójdę na pole, zakocham się w życie,
Wraz ze mną światem obłąka się pies —
Psa pocałuję, zrozumiem psie życie,
Zrozumiem wszystko do głębi, do łez...

Pojmę szał wiatru, chłostanego chłodem,
W pierś się zanurzy ostra bólu żerdź.
Pójdę nad rzekę, pocałuję wodę —
Pójdę nad wieczność i zrozumiem śmierć.

KOŁOWROTEK

Rodzą się, giną ludzie, bogowie i światy,
A wieki przefruwają jak sekundy wiotkie.
Wszystko jest ptakiem błysku, powiewem
[skrzydlatym —
Kręci się cały wszechświat wielkim kołowrotkiem.

Któryż to dla ludzkości gwiazdy wiek wybiły?
Gdzie znajduje się ziemia, wierna córka słońca?
Ciągle leci w rozpędzie niewstrzymanej siły,
Malutką olbrzymiością po niebie krążąca.

Wątłem drutów przędziwem osnuta jak siecią,
Nastawioną na połów wieczności ogromnej,
Jakgdyby stalowemi szpikulcami wrzecion
Mierzy w przestrzeń spiętrzeniem wieżyc
[karkołomnych.

Ach, dokąd pnie się człowiek, oszalały pająk?
Czy chce swą pajęczyną nieskończoność spętać?
Czy chce złapać księżyce, które srebrem grają,
I położyć swój palec na bezmiaru tętnach?

Rodzą się, giną ludzie, bogowie i światy,
A wieki przefruwają jak sekundy wiotkie.
Wszystko jest ptakiem błysku, powiewem
[skrzydlatym —
Kręci się cały wszechświat wielkim kołowrotkiem.

ZŁO

Wy, których noc zamknęła w złe czarności kręgi,
Którzy w duszach chmur ciemnych groźną gęstwę
[macie,
Którzy przez świat dźwigacie ciężar swej włóczęgi —
Niechaj bezmiar gwiazd płaczem zmówi za was pacierz.

Wy, drący spojrzeniami chłodne nieba pasma,
Wy, klnący ojca-Boga i brata-człowieka,
Dla was najsłodsza światłość dobroci zagasła —
Jedna śmierć jest dobrocią, która zawsze czeka.

Wyrzuceni z dróg jasnych w zbrodnicze ostępy,
Suniecie chytrym buntem, który wszystko łamie.
Ach, iluż wam ból dusze poszarpał na strzępy,
Iluż wam rozpacz serca ubiła na kamień!

Wyskoczywszy z pod skrzydeł cienia posępnego,
Uderzysz majchrem, zbóju, — pocieknie krwi sznurek.
O, krwawy straszny bracie! — dlaczego, dlaczego?
Człowieku, zabłąkany w nieszczęście ponure!

Ty, dziewczyno uliczna, córko nocnej mroczy,
Co sycisz całą zgraję ciałem swem do rana,

Jakie dziwne masz oczy — jakie biedne oczy!
Konwaljo, w kał kleisty obcasem wdeptana!

Ach, wszyscy się błąkamy w ogromnym
[wszechświecie —
W każdym z nas mrok się krzewi, w każdym zbrodnia
[drzemie,
W każdym jest anioł czysty, co chce w boskość
[wzlecieć,
I szatan z wysokości strącony na ziemię.

GŁOS PRZESTRZENI

Słońca krwi w serce nalej,
W mleku gwiazd duszę kąp,
Śpiewaj, leć coraz dalej,
Sonduj snem życia głąb.

Suknem tęcz oczy zawiąż,
Daj się wieść złotym mgłom,
Złote mgły ciebie zbawią:
Miniesz mrok, miniesz zgon...

Chory czar czarnych komet
Śpiewem rwij, wichrem tnij —
Wrócą znów dni znajome,
Nowe dni, wielkie dni...

Zwiesza wdół promieniami
Niebna siń tysiąc lin,
Wzywa cię dzwoneczkami
Górna dal: dziń-dziń-dzyń...

Ciesz się, cierp, wznoś się, szalej,
Gwieźdź się, świeć — ucz się mrzeć —
Śpiewaj, leć coraz dalej,
Leć!

POZDRAWIAM PLANETY DALEKIE

Zanim dzień się z mroku wylęgnie,
Błądzę nocy kwietniowej gęstwą.
Nad mą głową pachnie obłędnie
Błękitne bezmiaru szaleństwo.

Wszechświat ogniem piękna przeraża,
Niebo spływa we mnie zachwytem.
Wyleć wgórę, rumaku raźny,
I rozjarz gwiazdy kopytem.

Jam snów żywych przeszyty blaskiem,
W duszę wbija noc złote ćwieki, —
Serca ostrzem, płonącym wrzaskiem,
Pozdrawiam planety dalekie.

SKRZYPCE

W noc, kwitnącą niebnym lipcem,
Blaskiem niebnych lamp,
Sporządziłem sobie skrzypce
I na skrzypcach gram.

Pasmo lśnistych strun — promieni
Smyczkiem serca tnę —
Lazur złoci się i mieni
Księżycowym lnem.

Rozciąga się, drży i błyszczy
Każdy tonu włos,
Bo wydobyć chce najczystszy,
Najzłocistszy głos.

Dni me proste, dni zawiłe,
Błogosławię wam —
Oto skrzypce sporządziłem
I na skrzypcach gram...

NOC

Ty, nocy wonna — ty, nocy nieskalana,
Drzewami wzwyż — gwiazdami wdół wisząca!
Tyś w sercu mem — błękitna żywa rana,
Tyś czysty sen, sączący sok miesiąca.

Na dachu siadł bielisty światła gołąb,
Przez szpary drzew różane złoto cieknie.
Dwie drżące gwiazdy śpiewają nad stodołą,
Jak skrzypce skrzeń, jak dwie migotu fletnie.

A lazur lśni — i śnieżą się promienie,
Tchnąc niby maj, niby dziewczęce włosy.
Ma radość jest — miłością i cierpieniem,
Me życie jest jak wielki ból radosny.

Niech z duszy las wygląda, w niebo grając,
Niech cały świat i bezmiar w sobie zmieszczę!
Boli mnie noc, jej blaski we mnie drgają.
A lazur lśni. Zawrotnie pachnie przestrzeń!

LIST

Dobrze mi na wsi. W ciele drzew, jak we mnie,
[wiosna krąży.
Pewnie wytrysną z duszy znów dźwięki jak bujne
[liście.
Dzień coraz chętniej leni się, kiedy przez wieś mą
[dąży.
A jam się prosty stał — od dziś mknę prosto
[i strzeliście.

Tu wieczór mi piękniejszy jest od poetyckiej blachy,
A nocą często cały drżę, gdy niebem się zachwycę.
I słucham ćwierkań białych gwiazd z gniazd pod
[błękitnym dachem
I wznoszę złote ściany chat, chat nowych pod
[księżycem.

Śmieje się serce, srebrny żar wciąż za pazuchę
[chowam,
Płyną przeze mnie w rytmie chwil wielkie
[ogniste fale.
I gdyby tak spróbował ktoś, deklinujący „słowa",
Zmierzyć się sercem z sercem mem — na popiółbym
[go spalił!

A kiedy się położę spać, sen jest jak kwiat czereśni...
I śpiewa, dzwoni w mojej krwi, gra górna kantylena!
Bo jak brzmi życie, tak brzmi pieśń — i niema
[innej pieśni,
Bo jak brzmi pieśń, tak życie brzmi — innego
[życia niema.

DO MELODJI

Od dzieciństwa, którego wspomnienie się dotąd
Na wargach moich chwieje, niby płatek tęczy,
Z bolesną, płomienistą, drapieżną tęsknotą
W mojem sercu swym blaskiem rozśpiewanym
[dźwięczysz.

Ty młodość mą w błękitu owinęłaś płachtę,
Ty miłości mi majem zagrałaś na cytrze,
Ty przeszłość mą odwiozłaś w wieczność złotym
[jachtem,
Ciszo głębin zawrotnych — gwiezdny szczytów
[wichrze!

Czy to ty we mnie teraz odzywasz się znowu,
Melodjo, lśnistogłosy, przeczysty słowiku?
Czy to ty mi otwierasz bramę lazurową,
Do której mój poranek jasne klucze wykuł?

Kocham ciebie. Tyś duszę moją pokropiła
Grubym pożywnym deszczem, radością i płaczem.
Płyniesz znów wstrząsającym prądem po mych żyłach,
Igliwiem wonnych dźwięków w mojej piersi skaczesz.

Po niebie dni i noce jadą na obłokach —
O, wypić duszkiem piękno światów gorejące!
I wzbiera, rośnie w ciszy pieśń jak świat szeroka,
Czerwoną mocą serca rozgrzana jak słońcem!

MĄDROŚĆ ŻYCIA

Bratu memu — Franciszkowi

Pachnie, jak leśna trawa, wonią mądrości prostej
Cała przeżyta przeszłość i przyszłość nieprzeżyta.
Noc między dwoma dniami błękitnym jest pomostem,
I świt wyrasta z nocy garścią jasnego żyta.

To ja — żyjący człowiek, to — ziemia, z której
[kwitnę,
To — z nieba kwitną gwiazdy, co mają blasku kolce.
A kiedy znowu słońce zatętni złotym rytmem,
Dzień, syn poranka, wzrośnie i będzie zmierzchu
[ojcem.

Szumi odwieczna nowość, piękna, jak zbóż melodja,
Huśtanych w lecie wiatru mieniącym się powiewem.
Powrotem w dal zgubioną jest każdej fali odjazd,
A cichość jest ostatnim, najdoskonalszym śpiewem.

Toczy się odpoczynków i trudów ciągła obręcz.
Pod głowę sen się ścieli, lub zimna śmierci wydma...
Kto jesteś ty, co ręce słodkim spokojem dobre
Nade mną rozpościerasz, niby najcichsze skrzydła?

RADOŚĆ

Pieni się we mnie i burzy, i musuje jak sok wiśniowy
Dni połkniętych w zachwycie zgęstniały mocny osad.
Gdy się wieczór zakurzy nad miastem, jasna radość
[strzela do głowy,
Chce się w niebo zanurzyć ramiona, twarz ukąpać
[w gwiaździstych pokosach.

Na wysokich kominach fabryk, chłodna nocy,
[miękko się ścielesz,
A w gorących fabrycznych wnętrzach człowiek ziemię
[jutrzejszą tworzy.
Choć na twarzy mam uśmiech spokojny, w duszy
[wieczność się ciągle miele.
Niech się w okrzyk śpiewu przemiele, niech zaszumi
[błękitem bożym!

Oto gwiżdże pociąg: Żegnajcie! Dokąd leci przez
[noc ten pociąg?
Tryska miasto kroplami świateł — woła zdala strona
[rodzinna!
Mówi miłość szeptem najsłodszym, utęsknioną
[drżącą dobrocią:
Dokąd idziesz ode mnie, miły, po ruchomych groźnych
[godzinach?

Stań na chwilę i nam się przypatrz, złotym oczom,
[któreś miłował,
I nam, czystym wieczorom kwitnącym — i nam,
[cienkim świeżym półksiężycom.
Stań i usta przyciśnij w milczeniu do snów cichych,
[do zmierzchów majowych.
Nie idź, miły, walczyć z tajemnicą!

Woła, woła wszystko: — Zaczekaj! Gwiżdże, gwiżdże
[pociąg: Żegnajcie!
Nowa, ostra radość wybucha: Nie ustawać, tylko
[lecieć, lecieć!
Kto jest wolny jak wicher w przestrzeni, w żadnej
[nie da się uwięzić chacie.
Pozdrowienie i sława pociągom, w śmiałym pędzie
[tętniącym po świecie!

DO PRZESTWORU

Graj, przestworze mój,
Pieśnią w duszy drgaj —
Graj ogromów ból
I najdalszą dal!

Kocham burzę gwiazd,
Grom, grom — gromu grot —
Kocham płomień, blask,
Płomienisty lot!

Umieram, by żyć,
I żyję, by mrzeć, —
Każdy dzień jak nić
Wrasta w wieczną sieć.

I przestrzennych lir
Zachłyśnięty śpiew,
Jak obłędu wir,
Wwichrza się w mą krew.

Z łona żywych zórz
Jem ognisty chleb —
Lecę pośród gróz,
Ptak płonących nieb...

WIELKOŚĆ

Nim uczucia jak lasy w sercu się wypalą,
Nim nadejdzie kres, klęska wszystkich klęsk
[i zwycięstw,
Rwij naprzód, płyń, potężna żywiołowa falo,
Płoń, szalej w piersi, straszne i cudowne życie!

Teraz wybuchać trzeba rozwrzeszczanym brzaskiem,
Trzeba mordować wzniośle potoki zagłuszeń,
By rozdmuchać pożarem żywym serca płaskie,
By wbić nasienie pieśni w przytłumione dusze.

Nie zwiędnie bladym blaskiem jednodniowej chwały
Tylko to, co w natchnienia wytrysło szaleństwie.
Czy nie czas już w odwadze szatańsko zuchwałej
Boskie węże piorunów umieć chwytać w ręce?!

Niech na karku małości jasna wielkość stanie,
Niech zapali świat piękna gwiaździstą pożogą,
Niech leci na wspaniałym, strzelistym orkanie,
Płonąc ogniem najświętszym! Ogniu, ogniu, ogniu!!

CZARODZIEJSTWO

Błękitami gęstemi do góry, drąc oporu skołtunione
[chmury,
W buntowniczej zuchwałej radości, w zażartości
[natężeń i walk,
Wśród wzdętego ogromu przestrzeni — lotnych
[flotyll śpiewającym sznurem
Żeglujemy w zachwytu fontanny, w niepieszczoną
[przez nikogo dal.

Tęsknią smutnym za nami spokojem porzucone
[siedliska słodyczy,
Już nie mamy ni domu, ni kraju — ptaki górne bez
[rodzinnych gniazd.
W skurczu serca zdeptaliśmy miłość dziewczyn
[drogich, gorących różyczek:
Wołał przestwór gwałtownym sygnałem, wołał białem
[świergotaniem gwiazd.

Witaj, skrzący brawurowy śmiechu! Witaj, mocne
[pieniste wesele!
Boski wietrze, bezmiarem pachnący, jak na skrzydłach
[nas przed sobą nieś!

Nauczyły nas płomienne smyczki, w krwi budzące
[złocistą kapelę,
Kochać jasny, wielki dzień przyszłości, bombą świtu
[zapaloną wieść.

Żeglujemy, rozsiewając w drodze tchem serdecznym
[rozognione ziarna,
Żeby zboża kołyśliwem światłem piękna łan słoneczny
[bujnie rósł.
Pobłyskuje przed nami co chwila tajemnica, jak
[strzelista sarna.
Światy z jelit buchają zielenią, wrące srebro cieknie
[z niebnych ust.

Odkrywamy coraz nowe nieba, gdzie blask pachnie,
[woń jak dzwonki dźwięczy,
Gdzie podkuty platyną księżyców koń lazuru, mknąc,
[śledzioną gra.
W naszych żyłach młode słońce pływa i śpiewają
[wiolonczele tęczy!
Oto wdali czarodziejstwo wstaje w szpadach blasku,
[w oślepienia skrach!

SWOBODA

Swobodo — o, swobodo, wielka jak otchłań niebna!
Jakąż przeczystą wonią powiewa świeża przestrzeń!
O, dni złocista różo! Jabłoni nocy srebrna!
Już słyszę, jak wciąż bliżej burza poezji trzeszczy!

Znam, znam ja was oddawna — wy, kłamcy lat
[dzisiejszych!
Znam was, poeci-błazny na wielkich miast jarmarkach!
Wielkości, przyjdź! Wielkości, pożarze najjaśniejszy!
Przyjdź, rozpędź tych szwindlarzy, ogniem ich zdziel
[po karkach!

Ja ciebie widzę zdala, do Polski ciebie wołam —
Pachniesz kosmicznym miodem, dziewiczą szumisz
[tęczą.
A gdy na gwiazd klawiszach, na księżycowych kołach
Zagrasz — to wszystkie lasy jak skrzypce się
[rozdźwięczą.

Haha, — i któż to pyta: czemu — błękitem znęcon —
Gwiaździstość chłepcąc, śpiew swój śmiem srebrzyć
[jak Słowacki?
Bo chmur drapacze, blagą ziejące, karki skręcą,
A gwiazdy pozostaną — i bryzną nowym blaskiem!

LOT

Jestem synem całego wszechświata,
Cały wszechświat należy do mnie.
Niech żyje lot, wichurowa kantata,
Niech żyje żar, eksplozja i płomień!

Jeśli latać — to zawsze latać
Niebezpiecznie, gorąco, zawrotnie —
Jeśli szarpać — to niebo szarpać,
Jeśli sięgać — to sięgać najwyżej
I łykać żar mocy zażarty,
Gdy pies kosmosu cudowny
Palącym językiem wielkości
Duszę do kości liże!

Sercem swem w bezmiar strzelam,
Wiatry, wiatry sprężyste mnie dławią!
W ogromny światów kandelabr
Księżyce swych oczu wprawiam.

Jeszcze jedna jedyna zasłona,
Jedna mgła — a zobaczę wszystko.
Zapalę gromami ramiona,
Wylecę pociskiem
Wzwyż!

Skoczyć!
Frunąć!
W głębię!
W wysokość!
Żywym śpiewem na brzytwie zapląsać!
Rumaku mój — przepaść!
Przesadź!!
Rumaku rwący,
Wzwyż!
Dusza musi pięściami skrzesać
Zachwytów zorze iskrzaste
I sztyletami płomieni
W mgłę jak zębami się wkąsać!

Niech żyje zawrotność gwiaździsta
Skrzydeł w ogniu odwagi kąpanych!
Bić potęgą, potęgą ognistą!
Mieć za skrzydła — orkany!

Chlaszcze świstem wicher strzelisty —
Przeszkodom w zęby! — — Krew!...
Niedościgłość dali tnę w skronie,
Tnie sztyletów rozśpiewany płomień,
Ostatnią zasłonę drę!!!

TREŚĆ

KWADRYGA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

UKAZUJE SIĘ CO MIE-
SIĄC W OBJĘTOŚCI
48 STRON DRUKU

POEZJA • PROZA
ARTYKUŁY KRY-
TYCZNE • GRAFIKA

KIERUNEK: SZTUKA
USPOŁECZNIONA

1 9 2 9

BIBLJOTEKA KWADRYGI

STANISŁAW CIESIELCZUK
PIES KOSMOSU
POEZJE

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI
POŻEGNANIE TERMOPIL POEZJE

STEFAN FLUKOWSKI
SŁOŃCE W KIERACIE
POEZJE

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI
PORFIRJON OSIEŁEK
POWIEŚĆ

ALEKSANDER MALISZEWSKI
CZARNA BEATRYCZE
POEZJE

NINA RYDZEWSKA
MIASTO
POEZJE

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK
CIEŃ SKRZYPKA
POEZJE

Dalsze tomy w przygotowaniu